



Trzeci Rzym

Rosja to taki kraj, który oprócz surowców produkuje tylko napięcie międzynarodowe.

Rosja to taki kraj, który oprócz surowców produkuje tylko napięcie międzynarodowe.

Moskwa. Reprezentacyjna sala na Kremlu wypełniona setkami bojarów współczesnej Rosji. Otwierają się złożone odrzwia, a butnie brzmiący głos zapowiada wejście następcy wszechwładnych carów i groźnych, sowieckich sekretarzy. – Władimir Władymirowicz Putin. Witany salutem paradnie ubranej straży wchodzi niewysoki, wybotkowany na gładko, współczesny car budzącego się z postsowieckiego letargu Imperium, z konsekwencją i pietyzmem budowanego na ruinie upadłego onegdaj Związku Radzieckiego. Wita go aplauz wstającej z miejsc, wystrojonej, nowobogackiej elity, uwłaszczonej na bezmiernych bogactwach, eksploatowanych na ogromnej przestrzeni, tego największego na naszej planecie państwa. Cała ta dęta feta to nic innego jak namiastka triumfalnego wjazdu Cezara do Rzymu. Suweren wygłasza orędzie, którego ukryte w podtekście przesłanie brzmi: - Veni, Vidi, Vici. Przynoszę Rosji nowe terytorium. Odzyskałem Krym, który był zawsze w naszym sercu. Jeszcze niedawno taki obrazek mógłby być tylko produktem Hollywoodu. Teraz jednak stał się rzeczywistością więcej niż ponurą. Władimir Putin, ów pieszczoch zachodnich mediów i ulubieniec właścicieli unijnego, energetycznego biznesu zaczął wcielać w czym swoje marzenia o odbudowie rosyjskiego supermocarstwa. Eksperymenty z demokracją za prezydentury Jelcyna spaliły w Rosji na panewce. Jego następcą musiał zmagać się z separatyzmami i tendencjami odśrodkowymi rozsadzającymi tę niby federację. Utrzymanie tak niesłychanie rozległego terytorium, zamieszkałego przez kilkadziesiąt narodowości było możliwe tylko brutalną siłą, a potęgę militarną odziedziczoną po upadłym „Kraju Rad” zżerało pijaństwo i rdza. Żeby odbudować morale armii, wyposażyć ją w nowoczesną broń i sprawne systemy dowodzenia potrzeba było – jak w starej anegdocie – pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Szczęśliwie dla super ambitnego, byłego sowieckiego szpiega, środków finansowych w bajecznej ilości dostarczyli mu zachodni finansiści spekulujący – żeby nie powiedzieć żerujący na handlu surowcami, a szczególnie ropą naftową i jej pochodnymi. Niezliczone brygady pośredników handlujących najważniejszym surowcem naszych czasów wywindowały ceny produktów naftowych, do poziomu kilkakrotnie przewyższającego społecznie niezbędne koszty jej pozyskania, transportu i obrotu i tak przecież obłożone wysokim zyskiem. W ten sposób, gotując obiad na gazie, lub kupując podkoszulek fundujemy nie tylko bajecznie słodkie życie próżniaczej klasie arabskich szejków, ale składamy się

również na samoloty i rakiety dla ulubieńców Wowy Putina. Nie trzeba być politologiem, żeby spostrzec przenikliwość przywódcy rosyjskich bolszewików Lenina, który głosił, że zachodni kapitalista sam wyprodukuje sznurek, na którym my rewolucjoniści go powiesimy”. Sto lat po rosyjskiej rewolucji okazuje się, że były to słowa prorocze. Zachodnie koncerny w zamian za rosyjski gaz dostarczają Rosji wszystkiego czego wódz zapragnie, w tym najnowocześniejszej technologii, niezbędnej do modernizacji gospodarki i gotowego uzbrojenia także. Trudno się dziwić dobrze odkarmionemu wilkowi, że szczyrzy zęby i zaczyna mieć ochotę na kąsanie dobroczynnej ręki. Ta analogia zdaje się najlepiej obrazować stan dzisiejszej Rosji i mentalność jej władcy, któremu udało się w ostatnich kilku latach wielokrotnie nakłady na uzbrojenia i szkolenie armii. Zawładnęła nim nieokiełznana chęć do zademonstrowania brutalnej siły dla wymuszenia szacunku od świata dla wielkości Rosji, a w domyśle dla niego, władcy stojącego na czele supermocarstwa, następcy Piotra Wielkiego i Katarzyny II. Ten szacunek miał mieć źródło w strachu, który rodzi się z przeświadczenia, że słabych biją i robią to bezkarnie, więc jeśli jest możliwość wyboru, lepiej być bijącym niż bitym. Putinowi sprzyja głęboko zakorzeniona w rosyjskiej mentalności akceptacja dla rządów silnej ręki i pogarda dla demokracji. Rosjanom imponuje szybkość podejmowania decyzji przez ich „naczelstwo” w zestawieniu z długim i trudnym procedowaniem pomiędzy amerykańskim Kongresem, a prezydentem USA. Nie mówiąc już o nieustających i przewlekłych oraz często bezowocnych obradach przywódców państw należących do Unii Europejskiej. Mimo oczywistych objawów atencji do rosyjskiego samodzierżawia i pielęgnacji tradycji rządów autorytarnych Putin wstydzi się jednak wizytówki dyktatora i nie chce uchodzić w wolnym świecie za dzierżymordę, choć takim jest naprawdę. Precyzyjnie wykonana atrapa demokratycznego systemu sprawowania władzy i zmasowana propaganda potężnych, bezwzględnie posłusznych reżimowi mediów, ma zapewnić mu wizerunek oświeconego demokraty. Rosja posiada wszystkie atrybuty demokratycznego państwa. Jednak ciała przedstawicielskie wszystkich szczebli tym się różnią od swoich zachodnich odpowiedników, że ich rola ogranicza się do potwierdzania decyzji władzy rzeczywistej, czyli woli suwerena i w pełni posłusznego mu dworu. Bolszewicy dokonali październikowego przewrotu pod hasłem – cała władza w ręce rad – Nazwali, więc swoje państwo Związkiem Radzieckim. Wkrótce okazało się, że to fikcja, a dysydenci szeptem rozpowszechniali inną jego wersję. - Cała rada w ręce władz – mówiło się z sarkastycznym uśmiechem i to była jedna z najbardziej charakterystycznych cech komunistycznego ustroju. Dziś cała ta spreparowana, postradziecka demokracja znajduje się w rękach i kieszeni Putina. Brakuje tylko Związku Radzieckiego. No właśnie.

Prezydent Rosji od początku swego panowania nie pozostawiał złudzeń zachodnim analitykom, głosząc, że likwidacja Związku Radzieckiego było największym błędem XX wieku. Postawił sobie niezwykle ambitne zadanie odbudowania, umocnienia, a może nawet powiększenia owego „Imperium zła” – według określenia prezydenta USA Ronalda Reagana. Marzenie ambitnego niegdysiejszego szpiega miało to się ziścić kosztem pomniejszenia potęgi i strefy wpływów państw z zachodniego kręgu cywilizacyjnego i tak się stało. Po

stłamszeniu dążeń niepodległościowych islamskich narodów Kaukazu przyszedł czas na destabilizację Gruzji, a potem brutalną zbrojną napaść na ten suwerenny kraj i w rezultacie oderwanie Abchazji i Południowej Osetii. Zachodni politycy pokrzyczeli, co nieco, ale po cichu dość szybko, praktycznie zaakceptowali owoce rosyjskiej agresji. Ważnym elementem imperialnej polityki Putnia stała się zapisana w konstytucji nowa doktryna wojenna Rosji dopuszczająca nuklearne uderzenie w konflikcie zbrojnym. Miała ona na celu odstraszenie potencjalnych agresorów, a zapis o prawie do interwencji zbrojnej poza granicami federacji w obronie zamieszkujących tam Rosjan, ma usankcjonować agresję na kraje, w których osiedlili się Rosjanie w czasach sowieckiego zniewolenia. Pierwszym etapem odzyskiwania przez Rosję imperialnej pozycji było powołanie do życia, metodą brutalnych nacisków Euroazjatyckiej Unii Celnej, bazującej na gospodarczym uzależnieniu od Moskwy dawnych sowieckich republik. Udało się Putinowi metodą kija i marchewki skupić pod swoją batutą Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenistan, Armenię i Białoruś. O Ukrainę, perłę w carskiej koronie toczyła się walka. Na przeszkodzie rosyjskim planom stało poczucie dumy narodowej i dążenie do pełnej suwerenności potomków dumnych i okrutnych Kozaków, zamieszkujących te ziemie, które wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej. Kluczowe znaczenie dla oporu przeciw sowieckiej recydywie miały też europejskie aspiracje Ukraińców, rozbudzone podczas podróży za chlebem na wschód od Bugu. Te aspiracje legły u podstaw „Pomarańczowej rewolucji”, która wstrząsnęła Kijowem po sfałszowanych przez Janukowycza wyborach prezydenckich. Życiowy sukces odniósł wtedy występujący w roli mediatora Aleksander Kwaśniewski. Udało mu się ograbić samego Putina i doprowadzić do ponownych wyborów, przegranych tym razem przez pupila Kremla. Władca Rosji musiał przełknąć gorzką pigułkę. Niestety z sukcesu niepodległościowego zrywu Ukraińców kraj nie miał nic. Przekuli go na osobistą korzyść politykierzy i związani z nimi oligarchowie. Zaciekła walka o wpływy i pieniądze. pomiędzy prezydentem Wiktorem Juszczenko, a premierem Julią Tymoszenko otworzyła Janukowyczowi drogę do powrotu na szczyt władzy. Kraj nadal tonął w korupcji. Miał rację Władimir Władymirowicz kiedy mówił, że na Ukrainie panuje taka korupcja, o jakiej w Rosji nikomu się nawet nie śniło. Nie dodał natomiast, że korupcja w Rosji jest nieoficjalnie zinstytucjonalizowana. Nie mylił się też wiele kwestionując zdolność Ukrainy do stworzenia jednolitej, trwałej państwowości. Zapewne miał na myśli ludność południowo-wschodniej części tego kraju doszczętnie zrusyfikowanej pod wiekowym, rosyjskim panowaniem, wyraźnie nieposiadającej świadomości narodowej, identyfikującej się raczej z Moskwą, niż ze swymi pobratymcami z zachodnich obwodów. Kraj uzależniony od rosyjskiej gospodarki i dostaw gazu, okradziony doszczętnie przez własnych przywódców i oligarchów od dawna balansował na skraju niewypłacalności. Janukowycz posiadał rzeczywistą władzę dopóty, dopóki udawało mu się zręcznie lawirować pomiędzy Moskwą, a Brukselą. Nastąpił jednak czas definitywnego wyboru. Omawiając podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią prezydent wraz z całą Ukrainą oddał się całkowicie w ręce Putina, Obaj nie przewidzieli jednak skali oporu kijowskich, proeuropejskich elit, wspieranych przez szerokie kręgi ukraińskiego

społeczeństwa. Putin był zdegustowany nieudolnością Janukowycza w rozpędzaniu okupujących Majdan demonstrantów. Jednak obaj liczyli, że w opanowaniu rewolty pomoże służbom mundurowym surowa zima. Przeliczyli się. Wzięli na siebie przelaną krew w przeświadczeniu, że kara za pomordowanych patriotów nigdy nie dosięgnie potężnego prezydenta Rosji i jego ukraińskiego namiestnika. Stało się jednak inaczej, bo oprawców ogarnął strach. Pod osłoną nocy Janukowycz uciekł do Rosji, zabierając ze sobą cały swój dwór i resztki jeszcze nie zdefraudowanych, państwowych pieniędzy. Skutkiem tej niesławnej rejterady świat zwykłych ludzi zajrzał, za pomocą telewizyjnych kamer do prywatnej rezydencji szefa ukraińskiego państwa. Przepych i megalomania występowały tam w parze z kiczem i brakiem gustu. Nieprzyzwoite bogactwo, niczym nie zasłużone rzadko odsłania swoją bezwstydną twarz przed ubogą, milionową widownią. Odarte ze szczelnej osłony mactwa i hipokryzji szokuje, ale i skłania do medytacji nad ciemną stroną ludzkiej natury. Choć medialne, nie gości zbyt długo pośród newsów, żeby nie zasiać w nagle oświeconych głowach gawiedzi złowrogiej zawiści. W interesie klas posiadających, w tym medialnych krezusów i wysoko opłacanych dziennikarzy nie leży uświadamianie wyzyskiwanych i wykluczonych o głębokości przepaści dzielącej te dwa oddalające się od siebie światy. Ten wstydlivy podział nie ogranicza się do ubogiej, skorumpowanej do cna Ukrainy. Wręcz przeciwnie jest przekleństwem naszej cywilizacji i największym zagrożeniem dla jej istnienia w dającej się przewidzieć przyszłości. Nie trzeba daleko szukać dowodów potwierdzających tę tezę. Wystarczy prześledzić krótką historię restaurację kapitalizmu w Polsce. Szok wywołany skutkami tak zwanej „złodziejskiej prywatyzacji” skutkowało odsunięciem od władzy całej formacji polityków spod znaku etosu i styropianu, łącznie zdumionym swoją porażką Lechem Wałęsą, przywódcą hołubionej dotąd „Solidarności”. Dość egalitarne w swej masie społeczeństwo polskie nie zaakceptowało zawłaszczania majątku narodowego przez nowe postsolidarnościowe elity. Podobnie wyborcy potraktowali postkomunistów, którzy powrócivszy do władzy poszli w ślady swoich politycznych przeciwników. Wydaje się, że te rozszady na wszystkich szczeblach władzy, mające swe źródło w braku społecznego przyzwolenia na nadmierne bogacenie się elit uchroniły Polskę przed scenariuszem ukraińskim, gdzie cały majątek państwowy wpadł w ręce oligarchów. Jedną z ważnych przyczyn takiego, a nie innego przebiegu ukraińskiej transformacji była też głęboka „sowietyzacja” i rusyfikacja ludności tego kraju. Godzi się przypomnieć, że także w naszym kraju dochodziło do tysięcy manipulacji i przekrętów na drodze uwłaszczania się polskich elit, pochodzących zarówno z szeregów peerelowskich dygnitarzy, jak i nie w mniejszym stopniu spośród zwalczających ich zaciekle nowych „etosowo-styropianowych” prominentów. Nowobogaccy Polacy powiadają - pieniądze lubią ciszę, a wielkie pieniądze milczenie. Wdaje się jednak, że pieniądze wykazują zupełną obojętność na gwar czyniony wokół nich. Ciszę wokół wielkich fortun lubią natomiast ich właściciele, zwłaszcza ci, którzy nieuczciwie weszli w ich posiadanie, a także ci, którzy czerpią ze wspólnego portfela nieproporcjonalnie dużo w stosunku do uzasadnionych potrzeb i własnego wysiłku, włożonego w tworzenie puli

przeznaczonej do społecznego podziału. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi w głębi ludzkiej osobowości, gdzie mocno zakorzeniły się, chciwość i egoizm. Trzeba jednak pamiętać, że rozwierające się nożyce pomiędzy bogactwem elit, a nędzą mas ludzkich od zawsze były mechanizmem, uruchamiającym gwałtowne zmiany w porządku społecznym. Często o krwawym charakterze.

USA i UE są dziś ośrodkiem siły sprawczej i epicentrum zachodniej cywilizacji, odpowiednikiem antycznej Grecji i Rzymu w naszych czasach. Idea spajająca ten system społeczny zapisana jest jako prawo do wolności dla każdego człowieka i szacunku dla jego osobowości. Wszystkie inne prawa i zasady życia społecznego muszą uwzględniać tę maksymę w możliwie jak największym stopniu. To ideał, wdrażany mozolnie, z niemałym trudem i z mniej niż połowicznym sukcesem. Dzieje się tak z powodu zewnętrznych i wewnętrznych zagrożeń. W systemie, gdzie do wiążących decyzji dochodzi się drogą wielostronnych uzgodnień i kompromisów trudno o szybką odpowiedź na agresywne działania tych podmiotów polityki światowej, które preferują rządy silnej ręki. Nie rzadko więc dochodzi do konfliktów interesów z satrapiami, bo te choć z ochotą korzystają z osiągnięć i dobrodziejstw cywilizacyjnych, to szczerze nienawidzą najważniejsze państwa z jej kręgu. Powodem tej bezinteresownej zawiści jest przewaga technologiczna krajów Zachodu i powszechna dostępność towarów, usług i dóbr kulturalnych jaką zapewniają swoim społeczeństwom. Jednym zdaniem trwa nieustanna rywalizacja demokracji z despotią. Zagrożenia ze strony napierających na wolny świat reżymów totalitarnych mogą w przyszłości okazać się dla zgubne. Na razie jednak bardziej groźne są wewnętrzne sprzeczności wynikające z rosnących nierówności społecznych i narodowych egoizmów. Kryzys ukraiński obnażył błędy amerykańskiej polityki wobec Rosji z ostatnich lat. Rosyjskie wyzwanie wyraźnie zaskoczyło prezydenta Obamę. Ugłaskiwanie rosyjskiego niedźwiedzia przyniosło odwrotny skutek od zamierzonego. Przy pierwszym poważniejszym konflikcie interesów Misza stanął na dwóch łapach i zaryczał, przypominając o ukrytych w tajdze wielogłowicowych nośnikach atomowej zagłady. Jeszcze gorzej w godzinie próby spisała się Unia Europejska. Szacowne gremium przywódców 27 państw po długich targach nałożyło na Moskwę papierowe sankcje, z których Putin z Ławrowem uśmiechali się zapewne do rozpuku przy butelce koniaku. Okazało się bowiem, że unijni potentaci do tego stopnia bezmyślnie uzależnili się od handlu z Rosją, że sankcje gospodarcze z prawdziwego zdarzenia nałożone na rosyjskiego agresora zwróciłyby się przeciw nim ze zdwojoną siłą. Polityczną krótkowzrocznością wykazały się w szczególności Niemcy. Socjaldemokratyczny kanclerz Gerhard Schröder wbrew interesom unijnej i natowskiej Polski zbrała się do tego stopnia z Gazpromem, że zafundował niemieckim koncernom Nord Stream, czyli gazociąg z Rosji do Niemiec po dnie Bałtyku. Zgodę na tę inwestycję wynagrodził Niemcom Putin najniższą ceną gazu, a byłemu już kanclerzowi prestiżowym stanowiskiem rady nadzorczej w spółce eksploatującej rurociąg, z bajecznym uposażeniem liczoną w milionach euro. Zaspokojenie chciwości niemieckiego kanclerza, który sam mówi o sobie, że utrzymuje trzy byłe i jedną aktualną żonę, oraz

żądnych wysokiego zysku menedżerów niemieckiego biznesu zaowocowało kompletnym uzależnieniem od dostaw rosyjskiego gazu. Zwłaszcza po rezygnacji rządu z energetyki jądrowej, wymuszonej przez społeczne protesty, wywołane awarią japońskiej elektrowni atomowej Fukusuzima. Na podobną skalę interesy z Rosją mają też inni unijni potentaci, a szczególnie niebezpieczny jest transfer do tego wojowniczo nastawionego mocarstwa najnowocześniejszych osiągnięć europejskiego przemysłu zbrojeniowego. W tym miejscu się kłania wcześniej przytoczona przypowieść o produkowaniu powrozu na własną szyję. Znając dobrze największe przypadłości społeczeństw i rządów tak zwanego „wolnego świata” prezydent Rosji śmiało dąży do osiągnięcia swoich, imperialistycznych celów, bez obawy o skutki ograniczonej konfrontacji. W konflikcie z Zachodem posiada zdecydowaną przewagę, bowiem ani chwili nie zawaha się użyć armii, gdy tymczasem Zachód wyklucza użycie potęgi wojskowej, ograniczając się do werbalnego poparcia Ukrainy, zabiegów dyplomatycznych i mało skutecznych sankcji. Moskwa starym, radzieckim zwyczajem nie ustępuje ze swoich pozycji ani o krok. W myśl zasady – Co moje to nie rusz, a o tym co twoje możemy ponegociować. Towarzyszy temu zmasowany atak zakłamanej, kremlowskiej propagandy we wszystkich rosyjskojęzycznych mediach. W tak podgrzanej, nacjonalistycznej atmosferze Putin realizuje swój plan B. Wydarzenia na Majdanie zniweczyły bliski już sukces połknięcia na raz całej Ukrainy, przy pomocy podpisu Janukowycza pod deklaracją akcesu do Unii Euroazjatyckiej. Został więc zmuszony do rozerwania zdobyczy na kawałki przy pomocy nasyłanych dywersantów, szpiegów i zakamuflowanych żołnierzy sił specjalnych. Najpierw Krym, potem południowo wschodnie obwody i wreszcie Kijów, nazywany przez nacjonalistów-wielkorusów matką rosyjskich miast. Siłą nośną i bazą dla tej wyjątkowo podłej, kreciej, niestety krwawej roboty jest „piąta kolumna” w postaci kilku milionów Rosjan zamieszkujących Ukrainę, podburzanych przez zmasowaną, kłamliwą, kremlowską propagandę. Korzenie tej metody tkwią głęboko w tradycji sowieckiej, kiedy to najbardziej zakłamana gazeta na świecie nosiła tytuł „Prawda”, a rządzący Rosją politrucy gotowi byli w obronie głoszonych przez siebie kłamstw skoczyć każdemu adwersarzowi do gardła, uwięzić i wysłać na białe niedźwiedzie. Cała ta hucpa z prawem Rosji do zbrojnej interwencji za granicą, rzekomo w obronie mówiących po rosyjsku obywateli ościennych państw, nie wróży dobrze narodom mającym nieszczęście pozostawać kiedyś pod rosyjskim panowaniem. Szczególnie tym zamieszkałym przez znaczącą mniejszość rosyjską, ale nie tylko, bo raz uwolniony ekspansjonizm rosyjski nie poprzestanie na drobnych zdobyczach. Sny Putina o potędze mają bowiem zmaterializować się w wyniesieniu Moskwy do rangi Trzeciego Rzymu, który według prawosławnej mitologii, stanie się po Rzymie antycznym i Bizancjum nowym centrum świata. Potwierdzenie tej tezy można znaleźć w dumnej zapowiedzi Władimira Władimirowicza, że Moskwa już wkrótce przejmie od Zachodu rolę największego centrum finansowego naszego globu. Wypowiedź ta, zlekceważona swego czasu przez analityków rosyjskiej polityki w powiązaniu z szalonym wzrostem wydatków Rosji na wyposażenie armii mogła być wczesną przestrogą dla Zachodu. Niestety tak się nie stało. Kto wie, czy rosnąca w siłę autorytarna

Rosja nie spełni roli podobnej do plemion germańskich, dewastujących starożytny Rzym. Ale to nie wszystko. Nie wiadomo kiedy eksploduje chiński balon, a wojujący islam nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Największym jednak zagrożeniem dla cywilizacji Zachodu jest postępująca dysproporcja w poziomie życia pomiędzy bogatymi, marnotrawnymi centrami konsumpcjonizmu, a otaczającymi je kontynentami nędzy Trzeciego Świata. Społeczne nierówności rosną szybko nawet w krajach dobrobytu. Te wszystkie zjawiska to prawdziwy koktajl Mołotowa, który prędzej czy później musi sprokurować wielki wybuch. No chyba, że moźnym tego świata spadnie z oczu łuska egoizmu i chciwości.